

WIADOMOŚCI BRUKOWE.

Wilno w Sobotę

Dnia 4 Stycznia.

PODROŻY PROŻNIACKO-FILOZOFICZNEY

CIĄG DAŁSZY

(Ob. Nrek 97, 99, 102 i 105.)

WYPRAWA TRZECIA.

Nastala nakoniec zima, kochany czytelniku, i śniegi upadły — Ciężko się teraz po ulicach włóczyć — Zawiany nawet placyk pod ratuszem, a zamiatanie go i posypywanie piaskiem, wiosny nie wraca — Nieszczęście! Rzadko teraz będzie można wynisć i podobno wypadnie przy kominku i ciepłym piwku rozmyślać, albo rozprawiać... o niebieskich migdałach — Cóż robić? ja cię dla tego nie odstąpię — Kiedy niekiedy wydziemy na przechadzkę; a podczas zawieruchy będziemy się grzali i rozmawiali razem.

Każdy człowiek i każda klasa ludzi, ma swój sposób przepędzania i zabiiania czasu — My, pospolici próżniacy, walęśmy się, drzymiemy, albo rozprawiamy od rana do wieczora — Ale nasi towarzysze, rozmaici artyści, mają różne a różne zatrudnienia i zabawy, podług natury rzemiosła — Pracują zatem. A chociaż to wychodzi na nasze; wszelako nas mają prostą za próżniaków, ich za bardzo ważnych i potrzebnych ludzi, bo to jest rzecz pewna, że zatrudnieni tylko próżniacy i sami sławy dopiąć mogą i dla swoich ziomków ją zjednać — Dla tego dzięki Bogu, że się też zaczynają i u nas krzewić i kwitnąć zatrudnienia i zabawy chwalebne — Mamy coraz więcej; mamy coraz nowych nauczycieli — Można się, teraz za małe pieniądze nauczyć grać w szachy; tak jak zawsze było, tak i teraz, mo-

zna wziąć niewielkim kosztem kurs faraona, stosa, bostona; a na nauczycielach nie zbywa — Sami się następczą, sami do domów przychodzą; osobny za lekcy nie żądają nagrody, a dziwnie są skromni — Imion nawet swoich do Kuryera nie podają; owszem, iak zawsze w ludziach wielkiego talentu, uważano; milczą i nigdy się z swoiey umiętności nie chwają. Światby ich nawet nie znał, gdyby ich uczynki nie mówiły za nimi. Tym czasem ja tego talentu nie mam, a może i ty nie masz czytelniku uczony, więc pójdźmy na przechadzkę; a przynajmniej słuchaj, co ci o moiey ostatniey wyprawie opowiem.

Była to niedziela. Mróz cokolwiek zelżył, i śnieg pruszyć przestał — Wziąwszy więc moię wielką kapuzę, rysią szubę i bóty futrzane, wyszedłem na ulicę. Jaka wesołość! Zawsząd krzyk, dźwięk dzwonek, gwizdania i przeróżne piszczenie woźców. Co to jest? Dalibóg na ulicy iak w szynkowni! Czy cały nasz świat dla ogrzania się w czubek nalał? Czy to jest skutek niedawnego przesilenia dnia z nocą? Prawdziwie nie poymaie — Wszyscy lecają, iak oparzeni, z krzykiem i piśkiem — Co moment ścieraiają się sanki o sanki — Ten wrzeszczy nie naieżdżaj, ten na bok — idący pieszo, iak mogą uciekaiają, to w lewo, to w prawo — Ten, umykaiąc przed sankami pośliznął się i upadł; tamten nie mogąc uciec, wskoczył na sanki; ten uskakiując na bok przewrócił babę z koszem; ów żyda z jabłkami — Dalibóg są dny dzień. Zatrzymałem się więc w bramie, rozmyśliając, czy póysć, czy nie póysć? Bo iak to narażać się na wyraźne niebezpieczeństwo? Ale nakoniec przemogło opętane próżniackie rzemiosło — Trzeba póysć chodzić, żeby

się w domu nie nudzić— Więc ruszyłem— A że roztropność każe szukać w niebezpieczeństwie ochrony; przeto wlokłem się powoli za sankami z drzewem, które, nibyto mały i nikczemny wół ciągnął, a w rzeczy samej chłop z tyłu popychał— Miły Boże! pomyślałem sobie, iaka to uprząż? musi ten chłop mieć bardzo złego Pana! Tymczasem wlekliśmy się a wlekli, i nadsiedliśmy powoli pod budkę— Tu wystąpił budnik, i wyciągnął z sanek największe drewno— Chłopek chciał się opierać, za co się urzędnik mocno ofuknął, uderzył go dwa razy i długo potem nieszczęściwie laiał— Tymczasem ja, choć tknięty obrazą honoru moiego kolegi, nie chciałem go opuszczać w nieszczęściu; owszem dałem mu wspaniałe niektóre moralne przestrogi (wszak to nie niekosztuic), i szedłem za sankami daley. Zaczęto też wkrótce i drwa targować, co nas przymuszało zatrzymywać się tu i owdzie— W czasie tego odpoczynku uważałem: iż, gdziekolwiek się zatrzymam, zawsze mam iakiś szynk przed sobą, a czasem dwa lub trzy— Jak to dobrze! Ciężko u nas pracującym i wędrownikom upaść na siłach: bo co krok, to posiłek! Uważałem i to: że takowe przybytki o-rzeźwienia opuszczone nie były— Otwierały się albowiem i zamykały drzwi bez ustanku; wychodziły i wchodziły kobiety rozmaitego stroju i kształtu; a wychodzący lokaje, woźnice, rzemieślnicy, szli zamaszysto, dobrze zarumienieni i z wyiskrzonemi oczyma— Co znaczy prawdziwe pokrzepienie na siłach i niezmyślona wesołość.

Tymczasem stojąca w bramie swojego domu rubaśna gospodyni stargowała drzewo za cztery złote: chłopek więc wiechał do bramy i zaczął zrzucać; a ja zatrzymałem się nieco, rozmyślając, co począć daley— Nie wypadło albowiem puszczać się w futrzanych bótach i rysiej szubie na niebezpieczeństwo roztrącenia; upatrywałem więc, azali nie nadsiednie drugi podobny opiekun z drzewem; ale

się żaden nie nadarzał— Dawniejszy zaś, wyszedł z pieniędzmi na rękę, które długo przegłądał i liczył— Potem wzięwszy wolu z sankami, wyprowadził z bramy i pociągnął prosto pod szynk najbliższy, gdzie całą uprząż na ulicy zostawił, a sam poszedł się posilić i ogrzać— Ja, nie mając dłużej czego czekać, puściłem się w dalszą drogę— Snuły się rozmaite myśli po głowie tak, że iużbym brnął a brnął w filozoficzne koncepta, gdybym był nagle nie dostał w bok iednym końcem hołobli— Obróciłem się natychmiast z gniewem— aż tu żyd! Uderzywszy mnie raczył z cicha zawołać, *strzeż się*, i iak gdyby naleyszą rzecz zrobił, bardzo spokojnie i bez najmniejszej uwagi na moje laianie, pojechał daley, znowu sobie podług woli potraćć— Ja zaś tymczasem, nie mogąc się zemścić inaczej, stanąłem na ulicy i machając rękami, laiałem, ilem miał siły— Wszakże to nikogo z przechodzących i przejeżdżających nie poruszyło: bo wszyscy z uśmiechem spoglądali na mnie, mając mię oczewiście za dziwaka, który z tak drobnych i pospolitych przypadków, robi iakiś wielkie zdarzenia— Niechże więc tak będzie, pomyślałem sobie; niech was tu rozbiiają, iezeli o to chodzi; a ja dalibóg więcej na ulicę nie wyjdę; albo także, iak drudzy, sankami latać i kaźdego, co się nawinie, potraćć będę.

Szedłem więc rozgniewany przez rynek; zawróciłem około ratusza, i iużem wchodził na Niemiecką ulicę, gdy nagły krzyk i lament przeraził mię znowu i zastanowił— Lud zaczął się zbiegać i zaczęto w głos wołać za iakiemiś saniami, które szły wielkim pędem ku Ostrey Bramie z niezmiernym piskiem i gwizdaniem woźnicy; kiedy stara żydówka, którą przejechały, leżała rozciągniona w poprzek ulicy i zaledwo dawała znak życia— Rzucił się lud roztrąconą ratować; wniesiono ją czemprędzej, do pobliskiego domu, żeby czasem drugie sanie nie dokończyły dzieła tak chwalebnie rozpoczętego przez pierwsze— Leciały

albowiem w cwał iedne po drugich z wyuzdaniami na wszystkie strony świata i śpionionemi końmi, tak, że biedna piechota ledwo się mogła przy murze mieścić bezpiecznie— Ci, którzy lecieli naprzeciw siebie, kazali się z niesłychanym wrzaskiem iedni drugim umykać, a zawadzając częstokroć konie o konie lub sanie o sanie, lajali się i potracali nawzajem— Zaledwo już można było dórrzeć sanek iak strzała lecących, które obwaliły biedną staruszkę— Zebrany lud miotał za niemi bezskuteczne złorzeczenia i przekleństwa, zgadując i pytając się iedni drugich: ktoby to był taki? kiedy stojący spokojnie na boku kupiec w szubie odezwał się, *a to nasi*, i odszedł. Tu zaczęły się nowe złorzeczenia ludu, a ja częścią zdumiony, częścią rozniewany, stanąłem na ulicy iak wryty— W tém ktoś z przytomnych zaczął wołać, Mospanie, strzeż się WPan... Mospanie w rysiey szubie, zawolał mocniej— Na ten głos ocknąłem się z zadumienia i chciałem na bok uskoczyć, ale nie było czasu: bo zajęty rozhukanym, śpionionym i odwróconym do muru koniem, ledwom miał czas obejrzyć się; kiedy rozpędzony rumak zachwyił mię z impetem i rzucił o krokow kilka na stronę— Szczęściem, nie uderzyłem o mur, bobym był nusiał, czytelniku kochany, bez testamentu i przygotowania na śmierć, nawet bez pożegnania się z tobą, prosto na tamten świat wędrować— Naówczas skończyłaby się filozoficzna podróż po bruku: bo na tamtym świecie podobno, ani bruku, ani filozofow nie ma, a co gorzej pisać ztamtąd nie wolno. Skończyło się wprawdzie na upadku i lekkim stłuczeniu, ale się nie obeszło bez szwanku: bo się moja rysia szuba w dwóch miejscach rozdarła; bo moja kapuza het odleciała na bok, aż do bramy pobliskiej, gdzie płynęły wielkim potokiem świeżo wylane pomyje; i byloby się może przyszło z nią pożegnać. Przechodzący albowiem bachur już był za nią pochwyił, i co prędzej umykać zaczął; ale stojący tam z o-

gromnym żółtym imbrykiem pocziwy rozsiciel herbaty (1), wyrwał mi ją natychmiast, skrzętnie obeyrzał, a potem przystąpiwszy do mnie powoli, podniósł mię, oddał czapkę, przestrzegł, żebym był na drugi raz ostrówny; i zapytał, czy nie chcę napić się dla orzeźwienia gorącego napoiu— Podziękowałem moiemu dobremu obrońcy, a odziawszy się, iak było można naley piey w rozdartą szubę, przywdziawszy zawalaną kapuzę, i poprawiwszy butów, które iuz były spadać zaczęły, przedsięwzięłem wrócić do domu.

Tu się zapewne, zapyta nie ieden, kto mię tak nielitościwie rozbił? Nie ieden posądzi, że z przestachu niepostrzegłem autora tego uczynku. Oy! dostrzegłem przecie— i tém się przynajmniej cieszyłem w nieszczęściu, że to nie był żaden z moich czytelników: boby też to była sroga niewdzięczność— Ale to byli po prostu żydzi. Widziałem albowiem na własne oczy, iak w saniach ciągnionych przez trzy kare rumaki, na trzy wiatry puszczone, rozwalało się na pięknym dywanie dwoch synow Izraela, leżących rozkosznie na boku, obróconych do siebie nawzajem, uśmiechających się i przyjemną rozmową zajętych— Piękne i sutelisie futra odziewały nie źle wykarmione, barczyste, białe i pulchniutkie ciała— Jaśniały rumiane na licach iągody; iskrzyły się wypołodzone czoła i oczy, a zefiry z peysakami igrały. Zdawało się nawet, że sam bożek miłości ukrywał się ze strzałkami w wymuskanych, podstrzyżonych i kędzierzawych brodkach— Rozbicie się moje, rozdarcie rysiey szuby i zavalanie kapuzy, bynajmniej nie obesło tych dwóch zacnych mężów, którzy się i obeyrzać nie raczyli na mnie.

Po tym przypadku, wracałem do domu w bardzo złym sosie, a idąc dawną drogą, prze-

(1) Jest to herbata nie chińska, ale prawdziwa królewa. Rośnie na naszych łąkach i mocno rozgrzewa, kiedy jest gorąca.

chodziłem około owego szyneczku, w którym się pokrzepiał mój towarzysz z woliem. Z daleka postrzegłem, iż sanki i wół ieszcze stały na dawnym miejscu— Szedłem więc prosto do nich dla zobaczenia ieszcze raz kolegi, za którego drzewem takim się był szczęśliwie i bezpiecznie ukrywał— Ale iakież było podziwienie moje, kiedym postrzegł dawnego opiekuna leżącego pod murem bez zmysłów i czapki— Przyskoczyłem do niego natychmiast, chcąc go podzwignąć, ale wszystkie usiłowania moje były daremne— Spał albowiem snem niepokonanym— Gdym więc stanął nad nim i myślał o sposobie dania mu ratunku: wyskoczył z przejeżdżających sanek suchy mężczyzna w płaszczu, a obróciwszy się do swego woźnicy, rzekł— Wszak to *Lauruk*?— *Lauruk* odpowiedział woźnica— Zaczął więc śpiącego szarpać i budzić; a gdym się go zwawo zapytał: ktoby był? i coby to znaczyło? Poprawił czapki i płaszcz, ujął się za boki, i rzekł: Albo co?— Potém przypatrzwszy się moiej podartej szubie i zawałanej kapuście dodał. „A wiesz Jegomości: że to nie pięknie pić w szynku z chłopami? za to można odpowiedzieć— A wiesz Jegomości, że *Lauruk* jest poddany Pana Szambellana?“ Jakto? odezwałem się: albowiż ia z nim piłem? zkądże WPanu taka wiadomość, a WPanże kto iesteś? „Ja? odpowiedział; zwyczajnie pański sługa— Jestem Ekonom— Ja Jegomości nie znam, ale co Jegomość tu robisz przy moim czleku? a potém, za co tak futro podarte? Znam ia się na tych figlach— oy! iest tu w mieście dosyć takich?“ Ale mój mospanie, wstydz się WCPan odpowiedziałem, ia nigdy w szynkach nie bywam. „A toż nie szynk, rzekł P. Ekonom, pokazując drzwi, pod któremiśmy stali?“ Chciałem się wymawiać daley, ale szynkarka, która tymczasem wyszła i słuchała całej naszej rozmowy, uwolniła mię od tego— Wziąwszy albowiem P. Ekonoma za rękę, coś mu szepnęła do ucha; przez co natychmiast

się ułagodził, a obróciwszy się do mnie i grona słuchaczów, którzy się byli zgromadzili tym czasem, zaczął wywodzić obszernie: iak *Lauruk* był ostatnim hultaiem i piakiem; iak cały swój dobytek i wszystkie sprzęty gospodarskie przepił; iak się tylko przy jednym został woliu; kradł w nocy drwa w pańskim i sąsiedzkim lesie, i po to tylko woził do miasta, żeby się upiiał— Ja tym czasem widząc, iak iestem okropnie posądzony; iak zła sprawa moiego *Lauruka*; iak całe zgromadzenie z wielkiem podeyrzeniem na mnie spogląda; postrzegłem, iż trudno się będzie przed tym sądem usprawiedliwić, zwłaszcza, że pomocawszy się po kieszeni znalazłem, że nie miał za co wódki kupić; więc widząc wszystkich rozmową zajętych, wysunąłem się nieznacznie, i szedłem powoli do domu.

Co tu uwag! Jaki tłum Filozoficznych myśli!— a naprzód, niech sobie mówią co chcą, ale wódka musi być rzeczą bardzo dobrą, iak skoro się tak ludzie ubiegają za nią: owszem musi być owém dawnym szukaném najwyższém dobrem, skoro tracimy dla niej majątek, i zdrowie, a narażamy skórę na ciężkie razy. Ale i to nie dosyć, bo prawdziwi miłośnicy gardło dla niej odważyć gotowi— Są wprawdzie tacy co narzekają na wódkę i utyskują na szynki, co powiadają z pewnością, że to są plugawe gniazda rozpusty i skażenia naszego ludu; że w nich największych nieszczęść początek. Ale po co te czarne myśli? Nie wszyscy ludzie tak są nieznośni śledzionicy i nieprzyjaciele wesołości— Są rozsądniejsi, którzy upewniają, iż w szynkach mieszka dobry humor, w strapieniu pociecha, w cierpieniach ulga, że w nich iest prawdziwa przyjaźń, poufalskość i otwartość— Co to komu szkodzi, że się ludzie pokrzepiają i orzeźwiają w słabościach, a rozweselają w zmartwieniach? Ktoby to bez wódeczki zniósł ciężary, kto wytrzymał troski i dolegliwości ludzkiego życia?— Więc bądź pochwalony wielki gorzałeczki wy-

DODATEK.

nalazco; bądź uwielbiony pierwszy założycielu naszych gorzelni! Jak też to tak wielkich ludzi zostawiono bez pomników? Ale myślę się; bo każda szynkownia, każda karczma i karczemka są ich ozdobnymi pomnikami; są świątyniami poświęconymi ich chwale; a dostojne w tych świątyniach kapłany, są to nieoszacowane żydki nasze — Co to za prześliczne, co za nieopłacone plemię. Jaka to ozdoba naszego kraiu! Gdzie się obróć; czy gościncem, czy najmniejszą drożynką, wszędzie karczmy i karczemki, szynki i szyneczki — stoją popodpierane z przodu i z tyłu graty; stoją bez okien, kominów, a często i bez dachów; prawdziwe starożytności judzkie. Wiszą porozciągane brudne postronki od karczmy do stodoły, od stodoły do chlewa; jerozolimskie spoyniki! Przy każdej karczynie stoi ozdobny Izraelita w lachmanach; siedzi nieoszacowana jego połowica z brudnym i poszarpanym fartuchem; igrają bachurki, skaczą kozy i kozłeta; nieodstępne towarzysze synów Izraela. Jaka to przedziwna troskliwość o naszego chłopka, o jego dobry humor i zdrowie! iaka obyczajność i grzeczność! Nigdy przeieżdzającego lub przechodzącego koło karczmy nie przepuści bez przywitania, bez przemówienia do niego i zaproszenia na wódkę — a to iedynie przez ludzkość! Wie w każdym momencie, iak się gospodarz ma? wiele u niego bydła? wiele użąd i nakosil? wiele umłocił? A to iedynie przez miłość porządku — Wie, ile mu się urodziło cieląt lub iagniat, wie nawet kiedy kura iaiezniesie — a to przez czystą troskliwość o jego dobro — Niechże gospodarz lub gospodyni zachoruje, sam idzie do domu z flaszką, sam schorzałemu niesie posiłek i lekarstwo — Za to wynosi, coby tylko choremu szkodzić, coby go skusić mogło; cieleta, kury, iaia, zboża, len i konopie — wszystko to są rzeczy szkodliwe, które on powoli ściąga do siebie; a dla ulżenia chłopom tych ciężarów, dla odwrócenia

od nich oczewistych niebezpieczeństw, sam się obarcza, sam na wszystko naraża — O filantropy! o liberaliści! któryż głos zrówna waszey chwale? Sam Titus, burząc Jerozolimę, ani zgadł, ani pomyślał, iak wielką robił przysługę późnym Sarmatów następcom; iaki gotował dla ich kraiu zaszczyt, ochronę i ozdobę; iakich im nadawał tegich gospodarzy? iakich ludzi przemysłnych? Utyskuiemy np. na srogość i zdzierstwo Panów — i może po części słusznie — Ale czyż mają panowie choć iskierkę judzkiego przemysłu? Cóżby np. naychciwszy i naysroższy Pan wziął od Łauruka — Nic — owszem, (co za niezgrabność) Pan mu daie grunt, usiew, uprząż, bydło, chleb — a Jerozolimczyk, prawdziwy geniusz, wszystko to do siebie przeciąga — Nie ma nic Łauruk; tém gorzey dla Pana; a dla arendarza tém lepiej — Łauruk po wszystko idzie do Dworu, kradnie Pana, wywozi drwa z lasu — Panu szkoda; arendarzowi zysk i pociecha — Obiia chłop; a co arendarzowi do tego? On go dla tego napomni, poczęstuje, nauczy iak drugi raz powinien byđz ostróžnym — Jak, kiedy i po co ma iść do Dworu? Jak ma mówić z Panem? iak z Ekonomem? wie dokładne, co chłopu ze Dworu dano i z tego mu się natchmiał ściśle wyrachować musi.

Krótko mówiąc, któż mi pokaże w Historji drugi przykład tak przemysłnego ludu? — Nie ma swoiey ziemi, a iest narodem i rządzi się własnemi prawami — Nie orze, nie sieie, nie zbiera, nie młoci, a ma chleba podostatkim, obfituje we wszystko; wszystko co się w kraiu urodzi, do niego należy — Pan iest niemal jego poddanym, a chłop niewolnikiem, a to wszystko za pomocą nieoszacowanej wódeczki — Tak mała i na pozor nic niezłączająca sprężyna całyn kraiem rusza i włada — a toż nie geniusz! Szanuy, kochany czytelniku, potomków Izraela, bo to są prawdziwie wielcy ludzie. (c. d. p.)

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury siedmiu exemplarzy dla wieysc prawem wyznaczonych.

F. N. Golański Kom. Cenzury Czł.

W Wilnie w drukarni Redakcyi pism peryodycznych.